



Odpowiedzialność uczonych

Chciałabym podzielić się uwagami natury ogólniejszej i bardziej uniwersalnej niż polskie podwórko, bo dotyczącymi roli elit naukowych we współczesnym świecie. Teoretycznie ich rola powinna wzrastać, bowiem w świecie, **w którym tradycyjna przymoc została zastąpiona przemocą w bio- i cyberprzestrzeni**, zaufanie do instytucji i państw gwałtownie maleje, a zaufanie do „plastikowych” polityków spadło do zera. Rola naukowców, którzy lepiej rozumieją zagrożenia związane z najnowszymi badaniami i innowacjami w dziedzinie telekomunikacji, biologii, chemii i fizyki, powinna więc być coraz bardziej widoczna. Przywództwo oparte na nauce powinno rosnąć, ponieważ internet i odkrycia biologii molekularnej zasadniczo przekształcają świat rzeczywisty, stan zdrowia społeczeństw, działania wojenne i bezpieczeństwo świata. Pojawiające się koncepcje „do it yourself biology” i ruchów „otwartej nauki” mogą prowadzić do nieskończonej różnorodności potencjalnych biotechnologii podwójnego zastosowania, które w końcu mogą zostać niewłaściwie wykorzystane.

Trwające badania i odkrycia w dziedzinie fizyki, chemii, biologii, medycyny oraz technologii telekomunikacyjnych skutkują nadzwyczajnymi postępami, które mogą przynieść korzyści ludziom na całym świecie. Niemniej konsekwencje postępu naukowego mogą być zarówno korzystne, jak i niebezpieczne. Ten problem badań nad dwoistością zastosowań został już dawno zidentyfikowany. Biologia molekularna i biochemia mogą być wykorzystane zarówno do produkcji lepszych leków i testów diagnostycznych, jak i do stworzenia wysoce patogennych czynników biologicznych o szkodliwych działaniach. Problem GMO (dyskutowany ostatnio na łamach Pauzy Akademickiej), czy wprowadzana właśnie na świecie (również w Polsce) technologia 5G, obiecująca wielki postęp technologiczny i gospodarczy, jak również znaczne ułatwienia w codziennym życiu, wzbudzają z jednej strony wielkie nadzieje, ale też lęk przed możliwymi konsekwencjami dla zdrowia i stanu psychicznego.

A przecież decydenci powinni bezwzględnie przestrzegać zasady, że najskuteczniejszym sposobem dotrzymania kroku stale rosnącemu ryzyku związanemu z potencjalnym nadużywaniem rozwoju nauki musi być zrozumienie jej natury, konsultowanie się z ekspertami naukowymi i ciągłe naukowe monitorowanie. Tak aby nie zaniedbać niebezpieczeństwa, ale żeby też nie przeoczyć szansy rozwoju cywilizacyjnego.

Weźmy choćby aktualny dzisiaj problem wprowadzania technologii 5G. Dyskusje na ten temat odbywają się w tle potężnej gry politycznej (komponent chiński, Waszyngton kontra Pekin, Waszyngton kontra Unia Europejska) i technologicznej (technologie bezprzewodowe kontra tradycyjny i światłowodowy przesył). Pytania o dowody naukowe na szkodliwość lub jej brak prawie nie występują lub są lekceważone. Sama słyszałam, jak osoby z kręgu najwyższych władz Ministerstwa Cyfryzacji igno-

rowały potencjalne niebezpieczeństwo, określając je jako ryzyko równe „porannemu wypiciu kawy” lub kancerogenezie o prawdopodobieństwie równym efektowi wywołanym przez „noszenie kolczyków”. A przecież zagrożenia związane z silnym polem elektromagnetycznym winni zbadać uczeni zajmujący się spektroskopią molekularną, bo to oni właśnie badają oddziaływanie pól elektromagnetycznych z materią, w tym z żywymi organizmami. Problem w tym, że nawet gdyby decydenci chcieli oprzeć się na opinii uczonych, nie są w stanie tego zrobić, ponieważ nie ma odpowiedniej struktury.

Dlatego uważam, że powinniśmy zjednoczyć się i silnie nacisnąć na władzę, aby natychmiast powołała do życia PAŃSTWOWĄ NARODOWĄ AGENCJĘ NOWYCH TECHNOLOGII, której pozytywna opinia byłaby konieczna przed wprowadzeniem nowej technologii do powszechnego użytku, podobnie jak to ma miejsce w przypadku nowych leków. Agencja winna być finansowana przez rząd (podobnie jak słynna amerykańska agencja rządowa Food and Drug Administration (FDA)), ale bezwzględnie od niego niezależna, co należy zagwarantować odpowiednio precyzyjnymi i rygorystycznymi przepisami. Jest to konieczne, aby mogła dobrze i dociekliwie pracować w celu uzyskania wiarygodności, jaką ma FDA, która kontroluje leki, urządzenia medyczne, urządzenia (nie tylko medyczne) emitujące promieniowanie. FDA uchroniła Amerykanów m.in. przed niebezpiecznymi skutkami zażywania talidomidu.

Nie ulega wątpliwości, że odpowiedzialność za odpowiednie regulacje spada na państwo polskie. Potwierdza to Komisja Europejska, która oświadczyła niedawno (2018), że „zgodnie z art. 168 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej główna odpowiedzialność za ochronę społeczeństwa przed potencjalnymi szkodliwymi skutkami pól elektromagnetycznych spoczywa na państwach członkowskich, w tym na wyborze środków, które mają być przyjęte na podstawie wieku i stanu zdrowia”.

W badaniach tego typu, gdy w tle widać ogromne zyski korporacji, może powstać problem związany z pozyskaniem finansowania z niezależnych źródeł, badania mogą rodzić konflikt interesu, bo potentaci telekomunikacyjni chętnie finansują badania naukowe, szczególnie te, które popierają ich tezy. Dlatego nawet najlepsze zapisy ustawowe mogą nie wystarczyć.

W dodatku naukowcy są słabi i niezorganizowani. Gdyby się zorganizowali, istnieje niebezpieczeństwo infiltracji przez polityków. Tak bywało często w przeszłości, np. z ruchem Pugwash (Konferencja Pugwash w Sprawie Nauki i Problemów Światowych – ruch uczonych na rzecz rozbrojenia i pokoju) po ogłoszeniu w 1955 roku antywojennego manifestu brytyjskiego filozofa Bertranda Russella, pod którym podpisał się również Albert Einstein. Czy i jak powinniśmy się zorganizować – to pytanie do nas wszystkich, może także na łamach „Pauzy Akademickiej”?

HALINA ABRAMCZYK

Politechnika Łódzka



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków

Uczelnie artystyczne wobec Konstytucji dla Nauki

Z artystami, zawsze gdy trzeba ich usytuować w jakimś systemie, jest kłopot. Z drugiej strony, w interesie uczelni artystycznych jest ich działanie w ramach regulacji przyjętych dla wszystkich szkół wyższych.

W okresie powstawania ustawy i licznych konsultacji ze środowiskiem akademickim największy opór budził pomysł funkcjonowania rady uczelni. Czas pokazał, że nie jest to istotny kłopot, bowiem rada może spełniać korzystną rolę w zarządzaniu szkołą wyższą, jeśli znajdą się w niej ludzie kompetentni, uczciwi, mądrzy i bezstronni.

Aktualnie wszyscy zarządzający uczelniami są na etapie tworzenia ich ustroju, toczą się dyskusje, trwają konsultacje, szkolenia.

Wiele z postulatów zgłaszanych, gdy konsultowano projekt Ustawy, zostało wysłuchanych. Tak na przykład zdarzyło się w sprawie szkół doktorskich, które mają funkcjonować w ramach dwóch dyscyplin. Przy obecnym podziale dziedzin i dyscyplin każda uczelnia artystyczna działa w zakresie jednej dyscypliny. Dziedziną jest sztuka, a dyscyplinami są: sztuki muzyczne, sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki, oraz sztuki filmowe i teatralne. Zapisano więc w Ustawie, że wymóg dwóch dyscyplin dla działania szkoły doktorskiej nie obowiązuje uczelni artystycznych, oczywiście pod warunkiem spełnienia wymogu dotyczącego kategorii (A+, A, B+).

Niemniej trudności są, przy czym dają o sobie znać nie tyle na poziomie zapisów Ustawy, ile na poziomie szczegółowych rozporządzeń.

Oto jeden przykład. Pośród uczelni artystycznych, muzyczne mają poważny i, jak na razie, nie w pełni rozwiązany problem. Chodzi o publikacje, wydawnictwa i czasopisma w zakresie teorii muzyki.

Na początek kilka uwag historycznych: W Polsce na uczelniach muzycznych wykładana jest teoria muzyki, a na uniwersytetach muzykologia. W krajach postsowietycznych i w samej Rosji wszystko, co związane jest z szeroko pojętą nauką o muzyce, a więc muzykologia, teoria muzyki, historia muzyki etc. usytuowane jest na uczelniach muzycznych; w krajach zachodnich i w Stanach Zjednoczonych jest różnie, na ogół jednak refleksja o muzyce rozwija się raczej na uniwersytetach.

Po II wojnie światowej, kiedy reaktywowały swą działalność przedwojenne uczelnie muzyczne i powstawały nowe (jako Państwowe Wyższe Szkoły Muzyczne), teoria muzyki spełniała funkcję wyłącznie dydaktyczną dla artystów muzyków: kompozytorów i wykonawców.

W latach 70. poprzedniego wieku grupa wówczas młodych adeptów teorii muzyki na uczelni krakowskiej, skupiona wokół, jak można to dziś powiedzieć – twórcy teorii muzyki w Polsce – prof. Mieczysława Tomaszewskiego – „rozruszała” teorię muzyki jako aktywność naukową. Pierwsze sympozja, pierwsze publikacje z lat 70. stały się załącznikiem tej specjalności. Za Krakowem poszły inne polskie środowiska akademickie i tak trwa.

Międzynarodowe konferencje krajowe i zagraniczne, kongresy, intensywna współpraca międzynarodowa, publikacje: monografie jednoautorskie, wieloautorskie, czasopisma (trzy Akademie publikują własne czasopisma) – to przejawy aktywności teoretyków muzyki.

Zasadne wydaje się postawienie pytania o specyfikę teorii muzyki i o różnice między teorią muzyki a muzykologią. Czy potrzebny jest podział? Otóż, ogólnie rzecz ujmując, czy nieco upraszczając – muzykologia uniwersytecka koncentruje się na aspekcie historycznym, teoria muzyki natomiast – na dziele muzycznym. Z tego zatem powodu dla teoretyków muzyki właściwym środowiskiem jest uczelnia muzyczna z twórcami i wykonawcami muzyki, z powstającymi i wykonywanymi utworami, z bogatym życiem koncertowym.

Wracając do nowych regulacji. Jak wcześniej wspominałam, na uczelniach muzycznych, jak na żadnych innych artystycznych, mamy kłopot z przyszłą ewaluacją, a w szczególności z oceną publikacji. Po pierwsze, chodzi o zaliczanie tekstów publikowanych przez teoretyków muzyki w czasopismach naukowych – czy będą pracownikom uczelni artystycznych „zaliczane” w procesie ewaluacji? Po drugie – o klasyfikację naszych czasopism. Jak na razie znalazły się one poza czasopismami naukowymi, co wyraziło się m.in. w niemożliwości przystąpienia do programu wsparcia dla czasopism.

Paradoksalnie, aktywności ściśle artystyczne: twórczość kompozytorska i wszelkiego rodzaju wykonawstwo – w nowej rzeczywistości ustawodawczej – mają się dobrze. Lata praktyki w tłumaczeniu na język artystyczny wskaźników naukowych zaowocowały spokojnym wypracowaniem odpowiedniego systemu ewaluacyjnego.

Reasumując, Konstytucja dla Nauki jest dobra; ważne natomiast jest mądre jej dopełnienie, zarówno na poziomie rozporządzeń szczegółowych, powstających w drodze dalszych konsultacji z zainteresowanymi środowiskami, jak również na poziomie opracowania dobrych statutów i regulaminów.

TERESA MALECKA

Akademia Muzyczna w Krakowie

Parę faktów...

Dyskusja na temat Polskiej Akademii Nauk nabiera tempa, co oczywiście wiąże się ze spodziewanymi zmianami rozwiązań ustawowych o PAN. Warto w tym momencie przypomnieć parę istotnych faktów.

Po pierwsze, nie zgadzam się z poglądem, że w części instytutowej PAN trwa stagnacja i jedynie wewnątrz placówek badawczych odbywają się procesy modernizacyjne. W kadencji 2003–2006 przewodniczyłem zespołowi ds. restrukturyzacji i doskonale pamiętam, jak istotnych zmian dokonaliśmy. Zakończono funkcjonowanie 11 placówek, w części polegało to na fuzji najbardziej wartościowych pracowników likwidowanych placówek i tworzeniu nowych instytucji z nowym programem i nowymi kadrami (powstały dwie nowe placówki, trzy inne awansowano do statusu instytutu, wybrane zakłady likwidowanych placówek włączono do instytutów o pokrewnym profilu naukowym). W dwóch przypadkach fuzja doprowadziła do znakomitej poprawy w rankingach, gdy np. placówka utworzona z dwu zakładów trzeciej i czwartej kategorii (w ówczesnej 5-stopniowej klasyfikacji KBN) zdobyła pierwsze miejsce w kolejnej kategoryzacji KBN! A tak się stało w dwóch sytuacjach, na Wydziałach II i III PAN. Zamknęliśmy kilka placówek niespełniających standardów Polskiej Akademii Nauk, promowaliśmy awanse znakomicie rozwijających się pracowników. Proces ten był kontynuowany przez Wydziały PAN w następnych latach, ostatnia likwidacja miała miejsce w roku ubiegłym, po latach, kiedy podejmowano próby modernizacji.

Po drugie, nie zgadzam się z krytycznymi uwagami o znaczeniu rad kuratorów. To są znakomite zespoły, wykonują świetną robotę, analizując okresowo placówki poszczególnych Wydziałów PAN. Robotę docenianą, o ile mi wiadomo, także przez dyrekcje instytutów i wykorzystywaną w usprawnianiu działalności ich placówek. Bardzo pożyteczne i najwyższej kwalifikowane zespoły! To, czego w tym systemie brak, to niewyciąganie konsekwencji z działalności rad kuratorów. Obecnie funkcjonują one jak, *sui generis*, kolegialne ciała doradcze niedysponujące możliwościami egzekwowania wniosków z ocen placówek. Mogłyby również przyjąć więcej funkcji do wypełnienia.

Ta krótka notatka nie ma na celu pochwały aktualnej organizacji, strukturalnej i funkcjonalnej, naszej Akademii Nauk. Mam sporo uwag krytycznych i propozycji, które zamierzam przedstawić odrębnie. W tej chwili poprzestaję na zaprzeczeniu totalnej negacji PAN, a szczególnie jej placówek, i obecnej relacji PAN–IPAN. Musimy to oceniać rzetelnie, jak to winno należeć do naszego stylu. Dziwię się nieodżałowanej pamięci, ogromnie szanowanemu Profesorowi Maciejowi W. Grabskiemu, że nie uważał restrukturyzacji placówek PAN (list wydrukowany przez PAUzĘ datowany jest na rok 2008, parę lat po kadencji 2003–2006). Mogło się tak zdarzyć, bo likwidacjom nieefektywnych placówek nie nadawaliśmy rozgłosu, uważając, że sprawa była wstydlawa (jak w szczególności placówka piątej kategorii w PAN!), więc porządku należało robić bez specjalnej reklamy.

JANUSZ LIPKOWSKI

Wydział Matematyczno-Przyrodniczy
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Płeć uczonych

Profesor Jerzy Duszyński w przedstawionym artykule („Pauza Akademicka” 464) *Nowelizacja ustawy o PAN – dziesięć zagadnień do pilnego rozważenia* sformułował między innymi punkt 9, który brzmi: „Udział kobiet w korporacji i w gremiach zarządczych PAN. Niski udział kobiet w korporacji wskazuje nie tylko na poważny problem wizerunkowy PAN, ale przede wszystkim na ciągle jeszcze niezaawansowany proces wyrównywania szans kobiet i mężczyzn. Obecne 7,8% kobiet w korporacji jest ciągle wysoce niezadowolające, pomimo że w ostatnim czasie ten udział nieomal się podwoił. Należy rozważyć wprowadzenie mechanizmów, które znacznie zwiększą udział kobiet w korporacji i w gremiach zarządczych Akademii”.

O ile jest on bez wątpienia poprawny politycznie, to metodologicznie całkowicie fałszywy. A to z tego względu, że pomieszczone zostały tu dwie rzeczywistości. Pierwszą z nich jest kultura, w której obszarze bez wątpienia leży nauka jako rozwiązywanie problemów na drodze do poznawania prawdy, a drugą natura, której przedmiotowy charakter badamy, odkrywając prawa i zależności w całej ich złożoności.

W nauce to my tworzymy prawa, których przestrzegamy, a prawa natury – jako się rzekło – poznajemy. Jedynym kryterium oceny doniosłości badań naukowych jest ich jakość i rezultaty. Przykładem tego mogą być naukowe Nagrody Nobla czy awanse akademickie. To także członkostwo w PAN. Te formy oceny odbywają się na mocy praw

kultury, które ustalił człowiek. Kolor skóry, wzrost, wiek nie mają tu żadnego znaczenia. Podobnie jak płeć. Nie ma zatem najmniejszego powodu, aby czynić z niej element oceny dorobku naukowego i na tej podstawie nagradzać czy wyróżniać badacza. Oczywiście, jeśli utrzymamy przyjęty reżim kulturowy i nie przyjmiemy kryterium, że „jak na garbatego to przystojny”. Nie ma również uzasadnienia wprowadzenie zapisu odwołującego się do cechy naturalnej, jaką jest płeć, przy doborze do gremiów kierowniczych PAN. Tutaj winny decydować kompetencje do zarządzania nauką. I tylko one. Jeśli będą większe u kobiet, to niechaj one stanowią nawet i 100% składu zarządów. Taki jest w każdym momencie interes korporacji, aby zarządzali nią najlepsi. W przeciwnym wypadku można by równie dobrze pytać o reprezentację niepełnosprawnych uczonych, czarnoskórych czy rudych profesorów, leworęczność czy orientację seksualną. Premiowanie płci przypomina z całą pewnością niesławne „punkty za pochodzenie” jako jedno z kryteriów rekrutowania na studia. Przyjmowanie ilościowego kryterium dla gremium kompletowanego na mocy kryterium jakościowego pracy jest, moim zdaniem, pozbawione sensu i wypacza istotę nauki. A problem wizerunku? PAN to nie partia polityczna, ale instytucja naukowa. O jej wizerunku nieodmiennie mają świadczyć jakość i wyniki badań naukowych. Wszystko inne jest co najwyżej trzeciorzędne. Płeć wynalazców penicyliny nie ma przecież dla chorych najmniejszego znaczenia.

ALEKSANDER NALASKOWSKI

Uniwersytet Mikołaja Kopernika Toruń

Profesor idealny

Jestem pod dużym wrażeniem *Książki o Dworzaninie**, udostępnionej niedawno polskiemu czytelnikowi przez profesora Andrzeja Borowskiego, który ją pięknie przełożył i opracował, oraz przez wydawnictwo Universitas, które ją równie pięknie wydało. Nie opuszcza mnie zdumienie, że książka napisana pięć wieków temu może jeszcze dzisiaj być interesującą lekturą. Gorąco polecam.

Fabula jest prosta: Na dworze księżnej Urbino grono jej dworzan rozważa, jakie cechy winien mieć idealny dworzanin. Temat pozornie niezbyt atrakcyjny, ale jak opowiedziany! Po pierwsze, erudycja. Imponująca dla podobnych do mnie dzisiejszych nieuków, którzy nie dotknęli łaciny, nie znają historii, niewiele wiedzą o wielkich postaciach starożytności. Po drugie, rozległość problemów. Czy dworzanin koniecznie musi być szlachcicem i dzielnym żołnierzem? Czy powinien być przystojny? Czy kobiety charakterem i cnotą dorównują mężczyznom (a może ich przewyższają)? Jakie winny być zasady miłości dworskiej? Czy starcom (40+) wypada kochać? Co bardziej wzniosłe: malarstwo czy rzeźba? Jakiego języka wypada używać, czy wyłącznie klasyków, czy może też ludowego? Czy cnoty można się nauczyć? Czy można przekroczyć otrzymane od władcy uprawnienia w sytuacji, gdy to przynosi mu korzyść? Jak daleko sięga lojalność: czy należy odmówić wykonania polecenia, które jest niegodne lub nawet zbrodnicze? ** Itd, itd, itd.

I to wszystko ilustrowane przykładami wziętymi ze starożytnych historii i legend.

W zasadzie chodzi po prostu o to, jak zrobić karierę na dworze. Ale pojawia się też problem: PO CO? Po co robić karierę? Czy tylko po to, żeby uzyskać rozmaite osobiste korzyści? W zakończeniu, ustami jednego z rozmówców, autor odpowiada: nie chodzi o osobiste korzyści. Celem jest zdobycie zaufania księcia, aby stać się jego powiernikiem i doradcą, co można i należy wykorzystać, żeby wskazywać mu właściwe postępowanie i przestrzegać przed naruszaniem praw i moralności (do czego władza kusi). Umiejętność „dworskiego” zachowania jest więc konieczna, aby wypowiedzieć słowa prawdy (czasem przykrej) w sposób, który książę jest w stanie przyjąć. Może to tylko przykrywką, może listek figowy, ale daje autorowi okazję do wyrażenia dość ostrych uwag o obyczajach współczesnych mu władców (naturalnie w kontraście do starożytnych).

Nie jestem oczywiście w stanie streścić tutaj książki. Nie potrafię też oddać atmosfery, w jaką zanurzyłem się w czasie lektury. Może ogarnęła mnie nostalgia, może uległem złudzeniu, może dopadł mnie żal, że nie dostałem szansy poznania tego wspaniałego świata renesansu i antyku. W każdym razie była to czysta przyjemność. Przyjemność wzmocniona imponująco bogatymi przypisami, umożliwiającymi laikowi zorientowanie się w niedomówieniach i aluzjach, które dodają wywodom autora wykwinętego smaku.

Jedna ze znajomych wyjawiała mi niedawno marzenie, aby przeprowadzić podobną debatę dzisiaj i aby jej tematem był ideał profesora. Niestety, dodała, to już niemożliwe. Rzeczywiście, gdzie znajdziemy takich erudyტów, gdzie znajdziemy taki dwór? Inne czasy, inne obyczaje. Dzisiaj jesteśmy praktyczni, nie wypada mówić o ideałach.

Ale zastanawiając się nad tym bliżej, dochodzę do wniosku, że ostatnie dyskusje na temat Ustawy 2.0 oraz związanego z tym systemu ocen, chociaż pozornie dotyczą rozwiązań administracyjnych i spraw formalnych, w swojej istocie kryją również zasadnicze pytania, czy wręcz spór o to, jacy powinni być ludzie zajmujący się badaniami i nauczaniem na wyższych uczelniach. Innymi słowy, jest to w gruncie rzeczy właśnie spór o ideał profesora. Spieramy się inaczej, nie tak wytwornie, nie tak elegancko jak bohaterowie *Dworzanina*. Jesteśmy gorzej wykształceni, nerwowi, niecierpliwi. Ale chociaż unikamy mówienia o ideałach, to jednak widać wyraźnie, że każdy uczestnik dyskusji nosi w myślach jakiś obraz idealnego profesora. I to właśnie, koniec końców, definiuje jego stanowisko.

Może więc warto podjąć próbę zorganizowania debaty o profesorze idealnym. Debata spokojnej, nienastawionej na dożadne efekty, lecz raczej na formułowanie dalekosiężnych marzeń.

W felietonie nie ma naturalnie miejsca, aby rozwinąć temat. Nie mam też kompetencji, aby wypowiadać się o tym, jakie cechy winien posiadać profesor idealny. Ograniczę się więc do kwestii bardziej ogólnej. Można zacząć choćby od pytania, czy rzeczywiście sytuacja profesora jest aż tak wyróżniona, że powinniśmy zastanawiać się nad specjalnym kodeksem etycznym, względnie „zbiorem dobrych praktyk” dla profesorów (albo w ogóle wszystkich ludzi zajmujących się badaniami i nauczaniem). Może wystarczy po prostu przestrzeganie ogólnych zasad, które już dawno zostały zapisane w mądrych (czy może świętych) księgach. Wszyscy pamiętamy dziesięć przykazań, ale inne zasady lepiej chyba przypomnieć.

Siedem grzechów głównych:

pycha, chciwość, nieczystość, łakomstwo, zazdrość, gniew, lenistwo lub znużenie duchowe;

cztery cnoty kardynalne:

roztropność, sprawiedliwość, umiarkowanie, męstwo.

Pomyślmy chwilę: czy nie wystarczy, aby profesor nie kradł (o zabijaniu nie śmiem wspominać), nie mówił fałszywego świadectwa i nie pożądał żadnej rzeczy należącej do kogoś innego? Żeby nie był pyszny, nie był chciwy, nie był zazdrosny, nie wpadał w gniew i nie był leniwy lub otyłały? A jeżeli w dodatku jest roztropny, sprawiedliwy, umiarkowany i odważny, to czego jeszcze trzeba do ideału?

To jednak chyba zbyt wysoka poprzeczka. Wróćmy więc może lepiej do naszych sporów o punkty.

ANDRZEJ BIAŁAS

* Baltazar Castiglione, *Książka o dworzaninie*, tłum. Andrzej Borowski, Universitas, Kraków 2018.

** Odpowiedź (sformułowana, przypominam, 500 lat przed procesem norymberskim): ZDECYDOWANIE NALEŻY ODMÓWIĆ!